



zajmujące czytanki ilustrowane.

ISKIERKA.

ZA GŁOSEM SUMIENIA

Z RYCINAMI.

23. Maj 1920

Z. B. P.
Ord. 110. ski
Drużyna Męska
L. 40.
HARCERZYNI
H. TRAUTMANN
we Lwowie

L. _____
II. LWOWSKA DRUŻYNA HARCERZYNI

Karola Chodkiewicza.

Wydawnictwo M. ARCTA w Warszawie.

Księgarnia „OŚWIATA”

we Lwowie

Akademicka 1. 8.

B.c.1, Lw. druž. harc.
№ inwent.- 289
Tom-

K 194/2004



KW 28/2004
MUZEUM

Inv. 173796

Jaki wypadek miał Bolek gdy wracał do domu.

Czerwiec dobiegał ku końcowi.

Pewnego dnia w południe rozwarły się szeroko drzwi szkoły miejskiej i z okrzykami radości wypłynęła przez nie fala mundurków uczniowskich.

— Wiwat, niech żyją wakacje! — dało się słyszeć ze wszystkich stron.

Na obszernym placu wrzało przez dłuższą chwilę, jak w ulu. W końcu kilka oddzielnych gromadek chłopców zostało jeszcze przed szkołą, ale i te wnet się rozeszły.

Z serdecznymi słowami: — «Szczęśliwej drogi, wesołych wakacji!» — rozeszła się młodzież do domów.

Jeden z uczniów, Bolek Pilecki, wysoki blondyn, dodał na odchodnym:

— Wiecie? ja najwcześniej z was wszystkich będę w domu!

— Tak?... Szczęśliwy jesteś! — odparli chłopcy z pewną zazdrością.

— Co prawda, ojciec oczekuje mnie dopiero jutro — myślał sobie Bolek, — ale zrobię mu niespodziankę i zjawię się dzisiaj; przytem nie będzie posyłał koni na stację. Drogę znam przecież dobrze.

Jak myślał, tak i uczynił.

Wkrótce znalazł się na dworcu kolejowym. Coprędzej kupił bilet, a pozostałe pieniądze scho-

wał do piórnik; ażeby mu zaś było wygodniej nieść w rękę koszyczek, zarzucił tornister na plecy.

W tejże chwili rozległ się trzeci dzwonek. Bolek szybko wskoczył do wagonu, i pociąg ruszył z miejsca.

Serce chłopcu biło niespokojnie.

— Ach, żeby jaknajprędzej dojechać. Pewnie już będzie dobry zmrok, gdy zawitam do domu, bo od stacji mam jeszcze dobry kawałek przebyć piechotą. Zapukam lekko w okno, mała Basia się przestraszy... Ale dopiero będzie uciecha, gdy poznają, kto jest tym późnym gościem!

Zatopiony w swych słodkich marzeniach, ani spostrzegł, że przebył już drogę, ze zdziwieniem też wielkim usłyszał okrzyk konduktora, zwiastujący, iż trzeba wysiadać.

Z koszyczkiem w rękę i tornistrem na plecach Boleś skierował się w znaną stronę. Było już około siódmej wieczorem. Bolek przyśpieszył kroku, szybko minął zabudowania stacyjne, następnie wioskę i polankę i po chwili zagłębił się w las.

Bolek wyobrażał sobie drogę o wiele krótszą, tymczasem ta droga zdawała mu się nie mieć końca; w wygodnej bryczce ojcowskiej tak jakoś przedko mijał drzewa... Słońce skryło się poza lasem i lekka mgła owinęła wszystko.

Naraz rozjaśniło się cokolwiek — to skończył się wreszcie nieznośnie długi las, i oczom chłopca przedstawił się luby widok.

Słońce, jak wielka purpurowa tarcza zachodziło poza horyzont, rozrzucając naokół złociste błyski. Pole, pokryte młodziutkim zbożem, drzewa przydrożne zdawały się być odziane złotem i purpurą.

Naraz chłopiec odetchnął swobodnie, niedaleko ukazał się oczom jego komin cegielni w rodzinnej wiosce.

— Bogu dzięki, jeszcze jakieś pół godziny i będę w domu! — pomyślał sobie, mimowolnie przyśpieszając kroku.

Nagle tuż za nim dały się słyszeć czyjeś kroki.

Boleś jeszcze nie zdążył odwrócić się, aby zobaczyć, kto idzie za nim, gdy naraz uczuł się pochwyconym z tyłu za ramię.

— Napada mnie ktoś—pomyślał—i dla łatwiejszej obrony rzucił koszyczek i tornister na ziemię.

Wkrótce poznał, że ma do czynienia z kimś silniejszym od siebie. Przestрах i zdziwienie odjęły mu w pierwszej chwili mowę i zanim zdążył zawołać o pomoc, leżał już w pobliskim rowie.

Napastnik zaś, nie czekając ani chwili, schwytał porzucony tornister i zbiegł do lasu.

Splłoszone zwierzęta leśne uciekały przed nim; szeleszcząc gałęzmi drzew i krzewów, a uśpione ptaszki budziły się z przestрахem i ze świergotem opuszczały swe gniazda.

Tymczasem napastnik uczuwszy się w gęstwinie zupełnie bezpiecznym, usiadł na mchu i przystąpił do obejrzenia zdobyczy.

Mrok już panował zupełny.

Tornister nie zawierał nic szczególnego. Były w nim książki i kawałek suchej bułki. W jednej chwili zjadł bułkę z apetytem, był widocznie bardzo wygłodzony.

Następnie oczom jego ukazał się piórnik, a w nim pomiędzy stalówkami srebrna półrublówka.

Na ten widok zaświeciły się oczy niegodziowcowi; szukał dalej, wypadła jakaś kartka, była to cenzura. Przy bladym świetle wschodzącego księżyca starał się przeczytać nazwisko napisane na wierzchu cenzury. Jakby też umyślnie wiatr zaszumiał wśród drzew i przepuścił promień księżyca na litery.

— Bolesław Pilecki, a dalej: «Religja», bardzo dobrze.

— Co znaczy religja? — pomyślał sobie grabieżca, — aha! już wiem, to pewno lekcja, podczas której wykładają przykazania Boskie.

— Czy ja choć jedno pamiętam? — myślał. — Ale żadnego nie mógł sobie przypomnieć.

Mimowolnie spojrzał ku niebu. Gwiazdy migotały już między świerkami na ciemnem tle nieba. Światło księżycy padło w tej chwili na twarz napastnika, a z nim jednocześnie drugie, jaśniejsze jeszcze tam, z wyżyn niebieskich przedarło się prosto do duszy Franka, takie bowiem miał imię.

Chłopiec opuścił głowę i wzrok jego padł na małą książeczkę.

«Katechizm» — przeczytał na okładce, i zaciekawiony przerzucił kilka kartek.

— «Czcij ojca twego i matkę twoją» — przeczytał. — Ach więc to katechizm uczy o Bogu i przykazaniach.

W jednej chwili przed oczami jego stanął smutny obraz jego dzieciństwa.

W wilgotnej, ciemnej suterynie zobaczył siebie i czworo jeszcze mniejszych dzieci, jak brudne i obdarte trwożnie tuliły się do matki. Ojca nie pamiętał: umarł, gdy on był jeszcze niemowlęciem.

Matka posługami i praniem zarabiała na utrzymanie dzieci.

Dalej widział swoją matkę na słomie w łachmanach umierającą, a później siebie i rodzeństwo, zabranych przez litościwych ludzi do ochronki. Potym przypomniał sobie, jak z najlepszemi dziećmi z ochrony przystępował do Komunii Świętej i następnie został oddany na służbę do powoźnika.

Tu zmienił się zupełnie dotychczasowy tryb jego życia.

Majster i majstrowa byli to ludzie okrutni i bezbożni.

Franek, który odmawiał codziennie w ochronce modlitwę, wogóle chowany tam po Bożemu,

tu zapomniał nawet pacierza — niedziela czy święto nie istniały dla niego.



...teraz dopiero spostrzegł, że popełnił kradzież.

W tygodniu ciężka praca, wymyślanie i szturchańce; co święto musiał sprzątać warsztat, czyścić ubranie majstrowi i słuchać jego gniewnych gderań.

Nic więc dziwnego, że pozbawiony hartu ducha i siły woli, Franek kłonił się do złego i wreszcie wszedł na drogę upadku.

Właśnie przedwczoraj stłukł salaterkę, a obity za to przez majstra, uciekł od niego.

Tułał się czas jakiś wśród lasu, aż głodem przyciśnięty, ujrzał Bolesia i rzucił się na niego, aby mu zabrać tornister.

Teraz dopiero spostrzegł, że popełnił kradzież, że został rabusiem, złodziejem.

— O, Boże! mój Boże! — wyrzekał z płaczem.

I przygnębiony smutnemi myślami, z bólem w sercu, oparł głowę o pień drzewa, pod którym siedział. Wkrótce sen uniósł go w lepszą krainę: w krainę marzeń, zapomnienia. Anioł Stróż zaprowadził go przed tron Stwórcy i pokazał grzeszników dźwigających ciężary popełnionych zbrodni na swych barkach, a rozpromienione twarze niewinnych.

Z pierwszym brzaskiem słońca Franek rozwarł powieki i mimowolnie rzucił spojrzenie na tornister, nieszczęsne świadectwo nikczemnego postępu. W tej chwili zerwał się, ukląkł i złożywszy ręce, zawołał:

— O Chryste, przebacz mi! Uchroń mnie nadal od złego i nędzy!

Jakby odpowiedź z nieba, rozległ się głos dzwonka z kościoła w pobliskiej wiosce.

Chłopiec błagalnie spoglądał ku czystemu lazurowi nieba i nagle jakiś głos powtórzył mu w duszy słyszane niegdyś w dzieciństwie słowa:

«Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, iż weselą się aniołowie w niebie, kiedy grzesznik za grzechy żałuje.»

Czymprędzej powstał, zarzucił tornister na plecy i udał się w drogę z mocnym postanowieniem oddania go prawemu właścicielowi.

Kierując się za głosem dzwonka, wyszedł z lasu i znalazł się na wzgórzu, u stóp którego w pięknej dolinie leżała wioska.

Zdaleka błyszczał w promieniach słońca dach nowego kościołka, a głos dzwonnicy rozlegał się hen, wokoło, zwołując wiernych na nabożeństwo poranne.

Franek, nie namyślając się długo, udał się do wioski.

Czuł się jakby odrodzony, z przyjemnością patrzył na budzące się życie.

Koguty piałły wesoło, tu i owdzie skrzypiały żórawie u studni, tam znów wypuszczano bydło ze stodół, a pastuszkowie szli z pogodnymi twarzami i piosnką na ustach.

Chłopiec mijał chaty, i spoglądając z pewną bojaźnią na kręcących się wieśniaków, zatrzymał się dopiero przed drzwiami gospody.

Nieśmiało zajrzał do wnętrza.

Wilgotna podłoga świadczyła, iż porządna gospościa niedawno ukończyła sprzątanie w izbie, nieduże okienka były na oścież roztwarte, przepuszczając wesołe promienie słońca i świeże ranne powietrze.

Za stołem gospodarz ustawiał w należytych porządku szklanki. Spostrzegszy chłopca, z nieśmiałością zaglądnęło do izby, domyślił się, iż to musi być jakiś biedak.

— Chodźno bliżej! — zawołał. — Jeśli chcesz zarobić sobie parę groszy, to pracę u nas znajdziesz.

— Bóg wam zapłać, gospodarzu! Z prawdziwą ochotą będę wszystko robił, co tylko każecie, abym na kawałek chleba zapracował — odrzekł Franek.

I ze wzruszeniem pomyślał sobie, że chyba Bóg

go tu przyprowadził, aby go w pracy od pokus i złego uchronić.

Tymczasem weszła służąca, niosąc śniadanie dla gospodarza. Ten widząc, że Franek wciąż jeszcze stoi przy drzwiach, kazał mu iść do sąsiedniej izby, gdzie było nakryte dla czeladzi.

I znowu stanął mu żywo obraz dzieciństwa przed oczami, i tak, jak niegdyś w ochronce, ukląkł teraz, aby wspólnie odmówić modlitwy poranne.

Powtarzając słowa modlitwy za innemi, dziwił się, jak one brzmią obco dla niego.

Jakim to więc sposobem stało się, że przez te parę miesięcy tak zdziczał, iż nawet pacierza zapomniał?

Po skończonym śniadaniu każdy udał się do swego zajęcia, a gospodarz zwróciwszy się do żony, rzekł:

— Zostawiam pod twoją opieką tego oto chłopca... Magdzię biorę w pole. Ten chłopiec może ją wyręczyć w drobnych posługach przy tobie.

Z temi słowy włożył duży słomkowy kapelusz na głowę i wyszedł z chaty.

Franek, zostawszy sam z gospodynią, stał długo, kręcąc z zakłopotaniem czapkę w rękę. Biedny chłopak nie wiedział, jak powiedzieć o zamiarze odesłania tornistra, aby się nie oskarżyć.

Na szczęście gospodyni zapytała:

— Musiałeś pewnie, chłopcze, mieć niezbyt wygodny nocleg, żeś tak wcześniej do nas zawitał?

Franek, nieprzyzwyczajony oddawna do tak uprzejmych słów, oblał się gorącym rumieńcem i z trudem wykrztusił:

— Dobra pani, toż ja nie mając grosza przy sobie, dzisiejszą noc w lesie przepędzić musiałem.

— Tak to więc z tobą źle, biedaku?

— O, źle, bardzo źle!—zawołał Franek, i rzucając się na kolana, dodał błagalnie:

— Powiem wam wszystko, jak rodzonej matce, ale nie odtrącajcie mnie od siebie!... Będę dzień

i noc pracował, byleby dla siebie chociaż na kawałek suchego chleba zarobić!

Gospodyni ze wzruszeniem podniosła chłopca z klęczek, kazała mu usiąść obok siebie na ławce i łagodnymi słowy zachęcała do zwierzenia się przed nią ze wszystkiego.

Franek opowiedział w kilku prostych słowach historję swego życia: swe smutne dzieciństwo przy rodzicach, szczęśliwe czasy w ochronce, dopóki nie oddano go do terminu, i dalej, jak zmuszony był uciekać od swego chlebobdawcy, aż wkońcu ze łkaniem wyznał, co uczynił w lesie.

Następnie płacząc, prosił, aby mu gospodyni pomogła odesłać jaknajprędzej tornister, dodając, że chce tylko zachować dla siebie katechizm, za co skrzywdzonego chłopca przeprosi w liście.

Skończywszy tę opowieść, młody grzesznik opuścił ciężko głowę na piersi i z trwogą oczekiwał wyroku. Ale ani jedno słówko nagany nie wyszło z ust słuchającej, wzruszył ją niewymownie żal chłopca.

Położyła łagodnie rękę na ramieniu sieroty i rzekła:

— Pomogę ci z chęcią, biedne dziecko! Tam na stole leży pióro i papier, trzeba zaraz to załatwić, ażeby uprzedzić możliwe poszukiwania.

Franek nie kazał sobie tego dwa razy powtarzać, i niezadługo wracał już z lekkim sercem do gospody.

Ucałował z wdzięcznością ręce dobrej kobiety i poprosił, aby mu dała jaką robotę.

— Przedewszystkiem — rzekła — idź i umyj się porządnie, a następnie pomyślę o robocie.

Z temi słowy zniknęła za drzwiami.

Wyjąwszy zza fartucha wielki pęk kluczy, otworzyła kuferek i zaczęła w nim pilnie przewracać.

Po chwili wydobyła stare ubranie swego syna, bieliznę, niezniszczone jeszcze buty i duży kapelus z słomkowy.

Nie zdążyła zamknąć kufierka, gdy już wszedł Franek umyty i uczesany.

— Masz, ubieraj się w to! — rzekła z prostotą do wchodzącego, — zobaczymy, czy będziesz podobny do mego syna...

Co rzekszy, opuściła alkowę.

Franek był tak oszołomiony, że długo nie mógł zebrać myśli; nakoniec padł na kolana i ze łzami wdzięczności w krótkiej, lecz gorącej modlitwie dziękował Bogu za łaskę, której doświadczył.

Coprędzej włożył podarowane sobie odzienie i zwinąwszy w tłomoczek swoje brudne łachmany, wyszedł uradowany z alkowy.

— Niech wam Bóg stokrotnie wynagrodzi, dobra pani, — zawołał drżącym głosem.

— A teraz, rzekł — całując gospodynię w rękę — dajcie mi co do roboty, gdyż kto chce jeść, ten musi pracować... Tak powiedział przed chwilą gospodarz.

— Ach, prawda, gospodarz... — powtórzyła w zamysleniu kobieta. — Czy on tylko pozwoli tobie, sieroto, pozostać u nas? Zobaczymy! — dodała — tymczasem idź obierać kartofle.

Franek posłusznie spełniał rozkazy i przy robocie prędko mu czas upływał. Pomógł nakryć do stołu dla gospodarstwa, a sam wraz ze służbą zasiadł do wspólnej miski.

Radosne szczekanie psa na podwórzu zwiastowało przybycie pana domu.

— Niech będzie pochwalony! — rzekł wchodząc.

— Na wieki wieków! — odpowiedziano.

— Cóż ty masz za nowego lokaja? — rzekł do żony. — Wykręć-no się, urwisie! Wiesz, wcale dobrze wyglądasz w ubraniu mego syna — mówił oglądając Franka.

— Nie gniewasz się, mężu? — pytała gospodyni domu, wycierając sobie spoconą twarz fartuchem, — chłopiec ten tak źle wyglądał w łachmanach, sądzi-

łam, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, co
uczyniłam.



...niech wam Bóg stokrotnie wynagrodzi! — rzekł sierota

— Ja też nic nie mam — odparł gospodarz, — a zwracając się do Franka, dodał:

— Pamiętaj sobie raz nazawsze, że co moja żona postanowi, to jest dobrze!

— Będę wam za to wszystko wdzięczny do śmierci. Ale jam wielki grzesznik — dodał, spuszczać oczy.

— Taki pędrak i już ma coś na sumieniu?... — rzekł gospodarz surowo.

Franek spojrzał błagalnie.

— Nie gniewaj się, mężu, przed czasem — rzekła gospodyni łagodnie, — po obiedzie opowiem ci wszystko. Wówczas uczynisz, co będziesz uważał za stosowne. Teraz zaś siadajmy do stołu, gdyż jedzenie ostygnie.

Po obiedzie gospodyni poprosiła męża na chwilę rozmowy, a zostawszy z nim sama, opowiedziała mu wszystko o Franku i prosiła bardzo, aby go nie oddalał, gdyż wierzyła w jego poprawę.

Gospodarz zgodził się na to pod warunkiem, jeżeli chłopiec będzie się dobrze sprawował.

Na tym się skończyło.

— Będzie, będzie z pewnością — rzekła poczciwa kobieta, — sam widzisz, że najwidoczniej Bóg go do nas przyprowadził, ażeby nie zginął.

Gospodarz udał się na poobiednią drzemkę do alkowy, a spotkawszy po drodze Franka, rzekł:

— Słuchaj, chłopcze, ponieważ była wola Boga, abyś pod moim dachem schronienie znalazł, nie będę się Jej sprzeciwiał; ufam twoim szczerym chęciom i daj Boże, abym się na nich nie zawiódł.

— Będę wszystko robił, co będzie w mojej mocy — odparł Franek, — ażeby być godnym waszego miłosierdzia i stać się porządnym człowiekiem.

Co się stało z Bolkiem?

Zobaczymy teraz, co się stało z Bolkiem. Otóż biedny chłopiec, oprzytomniawszy cokolwiek z przestרחu, lecz nie mogąc jeszcze wydostać się o własnych siłach z głębokiego rowu, począł wzywać ratunku.

Na szczęście usłyszano go w poblizkiej cegielni, i wkrótce robotnicy przybyli mu z pomocą.

Można sobie wyobrazić, jakie było ich zdziwienie, gdy w poturbowanym, w błocie leżącym chłopcu, poznali młodego dziedzica.

Zaniesiono go coprędzej do domu, i Bolek rzeczywiście urządził rodzicom niespodziankę.

Ale jakże inną, niż zamierzał!... Przestרח, zdumienie, radość, urywane zapytania i odpowiedzi napełniły odrazu dom cały.

Dopiero późnym wieczorem uspokoiło się cokolwiek. Ułożono przybysza wygodnie w łóżku, ażeby w spokojnym śnie znalazł odpoczynek. Tylko troskliwa matka zajrzała jeszcze w nocy do pokoju syna, obawiając się, czy nie ma gorączki. Przekonawszy się, że sobie śpi dobrze, ucałowała czoło jedynaka i pocichu opuściła pokój.

Na trzeci dzień ojciec kazał jeszcze raz sobie całą przygodę opowiedzieć, gdyż chciał koniecznie złodzieja oddać w ręce władzy.

— Jak już ojcu wczoraj mówiłem—zaczął Bolek, —szedłem sobie szybkim krokiem ze stacji, ażeby wam niespodziankę zrobić...

— Śliczna mi niespodzianka! — przerwał pan Pilecki.

— Gdy na drodze do cegielni...— ciągnął dalej Bolek.

Ale nie skończył, bo nagle drzwi gwałtownie się otworzyły i do pokoju wpadła siostrzyczka Bolka.

— Tatusiu, tatusiu!—wołała—dla Bolka z poczty paczka... jakaś duża paczka.

Mówiąc to, położyła spory pakunek na stole.

— Dla mnie?

— Tak, to dla ciebie—rzekł ojciec, przeczytawszy adres.

— Co to może być?

Oddarto co prędzej papier i oczom wszystkich ukazał się tornister.

Bolek odrazu go poznał.

Wszystkie książki leżały w porządku, tylko w piórniku znalazł kilkakrotnie złożoną kartkę, na której niewprawną ręką były skreślone następujące słowa:

«Popełniłem wielki grzech, napadając wczoraj tak nikczemnie na pana. Lecz od dwóch dni nie jadłem, byłem bardzo głodny. Pół rubla jednak, które znajdowało się w piórniku, nie wydałem na jedzenie, lecz na odesłanie tornistra, ale z pierwszych zarobionych pieniędzy zwrócę je panu. Tylko katechizm zachowałem sobie na pamiątkę, aby mnie nadal, jak i tym razem, strzegł od złego. Proszę bardzo, niech mi go pan podaruje i przebaczy mój zły postępek. Błagam, niech mnie pan nie poszukuje, będę się starał usilnie zostać porządnym człowiekiem.»

Wszyscy byli bardzo wzruszeni losem nieznanego chłopca, którego nędza do kradzieży skłoniła, a który teraz tak gorąco tego żałuje.

— Prawda, mężu, że go nie będziesz poszukiwał? — zapytała pani Pilecka.

— A niech go Bóg ma w swojej opiece!—odparł zagadnięty, machnąwszy ręką.

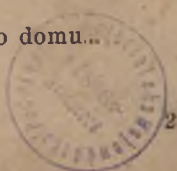
Co rzekszy pan Pilecki, wziął kapelusz i udał się w pole, matka do swego gospodarstwa, a Bo-

lek, otoczony siostrzyczkami, musiał im po raz dziesiąty opowiadać swoją przygodę.



....zanesiono Bolka coprędzej do domu...

Za głosem sumienia.



Bolek nauczycielem.

Upłynęło lat kilka i przez ten czas wiele się odmieniło na świecie, bardziej na złe, niż na dobre, gdyż były to lata klęsk różnego rodzaju. Ciągłe powodzie, grady i nieurodzaje stały się powodem okropnej nędzy.

Nawet najzamożniejsi niegdyś ludzie doprowadzeni zostali do zupełnego upadku.

Wśród nich znaleźli się i państwo Pileccy. Ci, niegdyś tak zamożni ludzie, zmuszeni byli sprzedać swój piękny majątek i zamieszkać w pobliskim miasteczku.

Dla Bolka minęły niepowrotnie lata dziecinne.

Właśnie skończył z odznaczeniem szkołę i miał na uniwersytet wstąpić, gdy nagle ojciec umarł.

Nie mogło więc być mowy o dalszym kształceniu się, trzeba było myśleć o jaknajszybszym wynalezieniu sobie jakiegokolwiek bądź posady.

Bolek postanowił zostać nauczycielem. Właśnie w owym czasie pewien hrabia poszukiwał nauczyciela, wychowawcy dla swego syna jedynaka.

Z pomiędzy wielu kandydatów wybrano młodszego Pileckiego.

Jakoż pewnego dnia Bolek z radością przeczytał list, że konie hrabiego będą nań oczekiwały na najbliższej stacji kolejowej.

Tak jak niegdyś jadąc do domu, wychodził on teraz z walizką w rękę z wagonu, lecz z jakimiś różnemi myślami!...

Wówczas wesołe letnie słońce przyświecało mu w drodze do rodzinnej wioski, a słodkie wspomnienia napełniały duszę. Dziś ostry jesienny wiatr wraz z deszczem wtórowały jego ponurym myśłom.

Gdy tak stał na stacji, szukając oczyma pociągu, podszedł do niego tragarz z zapytaniem czy nie na niego czekają konie z Olesiowa.

Bolek kiwnął potakująco głową i po chwili siedział już w wygodnym powozie, wieziony przez parę siwków, hen! na nowe życie.

Co go tam w tym obcym domu czeka? Jak go przyjmą? Czy przynajmniej trafi na dobre dziecko, którego nauczanie ma być odtąd powierzone jego pieczy?

Te i tym podobne myśli napępniały jego młodą głowę. Coraz gęściejsza mgła pokrywała ziemię.

Nagle powóz zatrzymał się i lokaj pomógł Bolkowi wysiąść.

— Jaśnie państwo oczekują pana profesora—
wygłosił lokaj.

— Dobrze, natychmiast się stawię, proszę mnie zameldować, a następnie zanieść tę walizkę do przeznaczonego dla mnie pokoju.

Po chwili dano mu znać, że państwo proszą go do siebie.

Prowadzony przez lokaja Bolek, przeszedł szeregi pokoi, nakoniec znalazł się w obszernej sali. Płonący na kominku ogień roznosił naokoło miłe ciepło, a ostry trzask drzewa przerywał panującą ciszę.

W wygodnym fotelu siedziała hrabina z robotą w ręku. Słyszając kroki wchodzącego, podniosła głowę i chłodno, choć grzecznie, powitała przybysza.

Hrabia, owinięty w przeróżne derki, gdyż cierpiał bardzo na reumatyzm, rzekł na powitanie:

— Otóż i nasz nowy korepetytor!

— Mam nadzieję—rzekła hrabina,—że będziemy mogli spokojnie powierzyć panu opiekę nad naszym synem.

Głęboki ukłon był niemą odpowiedzią ze strony Bolka. Sytuacja wydawała mu się bardzo nieprzyjemną, gdy na szczęście rozwarły się drzwi i przez nie wpadł z hałasem śliczny chłopaczek.

— Czy to prawda, że mój nowy korepetytor

przyjechał? — zawołał, nie spostrzegszy w pierwszej chwili Bolka.

Niebawem znajomość z uczniem została warta.

— A Bogu dzięki!... Przynajmniej będę miał znowu z kim harcować po polach i łąkach. Proszę, niech pan będzie dla mnie dobry, a ja wzajemian, postaram się, aby pan był ze mnie zadowolony — mówiło hrabiątko, podając Pileckiemu rękę.

— Dzielny musi być z ciebie chłopiec! — rzekł ten ostatni, głaszcząc bujne loczki Leonka.

I serdecznie się ucieszył na widok tego miłego dziecka.

— Czy wolno mi prosić panią hrabinę o chwilę swobody? chciałbym ułożyć swoje rzeczy.

Hrabina skinęła potakująco głową, lecz tym razem już cokolwiek uprzejmiej.

Gdy Bolek zwrócił się ku drzwiom, dodała jeszcze tonem objaśnienia:

— Zwykle pijamy herbatę o ósmej, może pan będzie tak dobry pofatygować się na dół o tej godzinie.

— W zupełności zastosuję się do rozkazu pani hrabiny — odrzekł z poważnym ukłonem Pilecki i opuścił salon.

Głucha cisza zaległa znowu pokój.

Dopiero po dłuższej chwili rzekła hrabina:

— Ten młody człowiek wydaje się dosyć dobrze wychowanym, nieprawdaż?

— Daj Boże, abyśmy wreszcie trafili na odpowiedniego wychowawcę dla naszego syna! — odpowiedział z westchnieniem hrabia.

— Ach, mnie nieraz do rozpaczy doprowadza roztrzepanie Leonka! — narzekała hrabina.

Poczym wyjąwszy z kieszeni przepelnioną zapachem fijołków chusteczkę, otarła oczy i szybko wzięła się do porzuconego na chwilę zajęcia.

Podczas gdy tak rozmawiali troskliwi o los jedynaka rodzice, Bolesław, prowadzony przez Leonka, udał się na górę do pokoju, który miał dzielić wraz ze swym uczniem.

Walizka jego leżała już na stole, a paka z książkami stała na podłodze.

Franciszek—takie było imię lokaja—zjawił się zaraz, aby dopomóc panu profesorowi przy rozpakowywaniu rzeczy.

— Proszę cię, bądź tak dobry i odbij młotkiem wierzch paki, ale z tej strony, gdzie będzie kartka z mojem nazwiskiem — prosił Bolesław lokaja.

Ale lokaj, spojrzawszy na wspomnianą kartkę, nagle zbladł i upuścił trzymany młotek na ziemię.

Schylił się coperędzej, aby go podnieść i zarazem ukryć chwilowe pomieszenie.

— Proszę mi przebaczyć moją niezręczność!—wybąknął i przystąpił do otwierania paki.

Widocznie jednakże musiał być nieprzyzwyczajony do podobnej roboty, gdyż ręce mu drżały i co chwila ocierał spocone czoło.

Nareszcie udało mu się pakę otworzyć; zaczął więc wyjmować książki i podawał je Leonkowi, a ten oddawał Bolesławowi, ustawiającemu je w bibliotecze.

Naraz lokaj nachylił się nad paką nisko, tak nisko, że o mało krew nie uderzyła mu do głowy; podniósłszy się dopiero po dłuższej chwili, wyjął z niej stary, zniszczony tornister: trzymając go w ręku, patrzył na niego ze zdumieniem i jakby oszołomiony. Po chwili dopiero się ocknął na głos Leonka.

— Panie Pilecki — zapytał chłoczyk, zwracając się do młodego nauczyciela, — czy ten tornister pójdzie do szafy?

— Tak, Leonku! To pamiątka z lat dawnych... Łączą się z nim dobre, a także i smutne wspom-

nienia!... Podaj mi, Leonku, tego starego druha, niech mu dam w szafie honorowe miejsce.

To rzekszy, wziął go od ucznia, pogłaskał pieśczośliwie po wytartej skórze, poczym postawił na najwidoczniejszym miejscu.

— Spocznij tu, wierny przyjacielu — rzekł, — ty byłeś przecież prawdziwym kamieniem węgielnym mego życia!...

— Kamieniem węgielnym mego życia—powtórzył lokaj cicho—jak to ładnie brzmi i jak prawdziwie!

Nie słyszeli tych słów ani Leonek, ani Pilecki, nie spostrzegli też, że Franciszek, obcieraając ukradkiem oczy, opuścił pocichu pokój i za drzwiami, złożywszy ręce, zawołał:

— O, niezbadane są Twoje wyroki, Boże! Nie opuszczaj mnie, Panie i nadal, jak dotychczas!

Niespodziewane spotkanie.

I znowu minęło lat kilka.

Bolesław przywiązał się bardzo do swego ucznia i wzamian zdobył sobie szacunek i sympatję całego domu.

Leonek robił w naukach ogromne postępy i ani słyszeć chciał o rozłące ze swoim nauczycielem, to też na gorące jego prośby rodzice zgodzili się wysłać jedynaka wraz z młodym Pileckim na dalsze studia do Lwowa.

W wigilję wyjazdu cały pałac był poruszony. Hrabina, z czerwonemi od łez oczyma, wydawała służbie rozkazy, dbając troskliwie, aby jedynakowi na niczym nie zbywało. Własną ręką coraz to coś wkładała do kuferków Leonka. Wreszcie, gdy już wszystko było gotowe, hrabia zawołał do siebie lokaja i oznajmił mu, iż pojedzie

z paniczem za granicę, a hrabina poczęła usilnie zaklinać wiernego sługę, aby Leonka strzegł jak oka w głowie, a będzie sownie wynagrodzony.



...to ja jestem tym, który pana ograbił w lesie...

— O pani hrabino!—zawołał z godnością—toć mieliście państwo czas przekonać się o moim przywiązaniu. Nie dla nagrody, lecz jedynie przez wdzięczność dla państwa będę się troskliwie opiekował paniczem; może być pani hrabina zupełnie spokojna, bo jeżeli tylko panicz jedzie pod taką opieką, jak pana Pileckiego, nic mu się złego stać nie może. Zaufanie, jakie państwo pokładają we mnie, przejmuje mnie radością, lecz nie mogę jechać, dopóki się nie przekonam, że pan Pilecki nie będzie miał nic przeciwko temu.

Na twarzy Franciszka widniało silne wzruszenie.

Hrabia był zadziwiony tym niezwykłym żądaniem wiernego sługi, lecz nie chcąc go sobie zrażać, kiwnął dozwalająco głową.

Franciszek pobiegł coprędzej do swego pokoju, zamknął za sobą drzwi na klucz i zaczął pilnie szukać w komodzie. Po chwili wyjął z niej jakieś stare papiery i ułożywszy je starannie, udał się do pokoju Bolesława.

Ten ostatni kończył właśnie pakować swój kufer, gdy ze zdziwieniem ujrzał wchodzącego o tak późnej godzinie lokaja.

— Ach, panie profesorze, pan hrabia żąda, ażebym jechał z paniczem do Lwowa, ale nie wiem, czy pan po przejrzeniu tych oto papierów nie będzie się obawiał wziąć mnie ze sobą?

Co rzekszy, podał guwernerowi stare papiery.

Ze zdumieniem wysłuchał tych słów Pilecki i przez samą ciekawość zaczął oglądać papiery.

Na wierzchu leżało świadectwo wiernej i uczciwej służby u jakiegoś oberżysty; potym znów zaświadczenie dobrej służby u pewnego obywatela, a następnie wpadła Bolkowi w ręce mała zniszczona książeczka, na której ze zdumieniem przeczytał ledwo już widoczne «Bolesław Pilecki», a dalej «Katechizm».

— Skąd ty masz tę książeczkę?... Więc ty jesteś... — zawołał Bolesław, lecz już nie mógł dokończyć.

Sługa padł przed nim na kolana i uchwyciłszy rękę młodzieńca, rzekł ze łzami:

— Tak, ja jestem tym samym, który pana niegdyś w lesie tak nikczemnie napadł i ograbił, czy może mi pan przebaczyć?

— Wstań, mój drogi, nie godzi się klęczeć przed człowiekiem!... — rzekł Bolesław wzruszony. Nie mam do ciebie najmniejszej urazy. Bóg niewyczerpany w swym miłosierdziu, wybrał mnie tylko jako narzędzie, aby cię wyratować.

Z temi słowy podniósł służącego, mówiąc:

— Widzę, żeś się zmienił, żeś odpokutował winę.. Godzę się więc chętnie, abyś jechał z paniczem i ze mną do Lwowa. Katechizm zachowaj sobie, aby ci przypominał zawsze słowa Chrystusowe:

«Kto mnie miłuje i do mnie się ucieka, niech pewien będzie, iż go nie opuszczę do śmierci!»

Z. H. P.
Oddr
Chorąg
2 DRUŻ. HARCZ.

UGUTTA



PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA

Gdańsk-Wrzeszcz
Al. Gen. J. Hallera 14



173796

UWAGA MUZEUM
KŁOCEK INTROLIGATORSKI